

Japońska lekcja



Na początku sierpnia oglądałem występ światowej klasy tancerzy, którzy do Polski przyjechali dosłownie na trzy dni i... odlecieli. I tyleśmy ich widzieli. Żle napisałem – tak naprawdę, to prawie nikt ich nie widział, choć była to niezwykła okazja, by zrozumieć, że istnieje inna kultura niż dominujące u nas anglosaskie bulwarowe formaty i burdelowe standardy z berlińskiej dzielnicy Kreuzberg. Ale po kolei.

Zdziwienie 1.

Kiedy w Polsce ktoś mówi o kraju kwitnącej wiśni, to „na dzień dobry” rechocze się z „drugiej Japonii” prezydenta–elektryka albo z prezydenta Bronisława i jego przygód z „szogunem” w budynku Zgromadzenia Narodowego w Tokio. To są oczywiście skojarzenia tzw. plebejskie. Są i „inteligentkie”. Te odsyłają nas do krakowskiego Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej oraz do postaci

Feliksa Mangghi Jasieńskiego. Hasłowa informacja nie daje niestety wiedzy – ani o krytyku i kolekcjonerze sztuki dalekowschodniej, która stała się podstawą

utworzonego w 1994 r. przez państwo polskie muzeum, ani o tym, dlaczego takie muzeum w ogóle istnieje. Nie ma u nas muzeum sztuki np. słowackiej, nie ma rosyjskiej czy niemieckiej, nie ma francuskiej, i nie ma nawet amerykańskiej, a jest muzeum sztuki japońskiej (i to z dodatkiem techniki). Prawda, że ciekawe?

Ale wróćmy do naszych skojarzeń. Te powyżej nie wyczerpują istniejących możliwości, ale żeby iść dalej trzeba odrzucić tak tę materialną, jak i tę cielesną wizję świata. Trzeba odwołać się do duchowości. I wtedy bez problemu możemy powiedzieć, że najważniejszym i najstynniejszym z Polaków, który kiedykolwiek trafił do Kraju Wschodzącego Słońca, był św. Maksymilian Kolbe. Praca misyjna tego franciszkanina i jego współbraci na japońskiej ziemi fascynuje i zachwyca, a jej metody i rezultaty winny być przedmiotem uniwersyteckich studiów i analiz. Niestety nie są. I jeżeli coś wiemy o ojcu Maksymilianie, to raczej jak umierał, niż jak żył. I jeżeli kojarzymy go z jakimś miejscem, to przede wszystkim z niemieckim obozem koncentracyjnym Auschwitz, a nie z drugim Niepokalanowem powstałym w Nagasaki.

Można jeszcze to i owo wymyśleć, rzucając hasło: Japonia, ale tak naprawdę wiemy niewiele. Tak dalece niewiele, że zaskakuje nas informacja, iż w Przemysłu od kilkunastu lat działa Centrum Kultury Japońskiej, i to działa więcej niż z rozmachem. Krakowska Manngha to instytucja – etaty, stanowiska, działy, parkingi, bilety, zwiedzający i pracownicy, dyrektor i zastępcy, a w pamięci jeszcze na dodatek Andrzej Wajda... Przemyska Fundacja Polsko-Japońska YAMATO to **Iga Dżochowska**, która pokochała Japonię i pianistka **Atsuko Ogawa**, która pokochała Polskę. Dwie kobiety, które swą idee fixe zbliżenia dwóch kultur postanowiły realizować z dala od wielkich miast i jeszcze większych urzędów. Pani Iga wie, że *„zanim dwa zgoła odmienne kraje czy regiony zdecydują się na wymianę gospodarczą, najpierw muszą dobrze poznać swoją kulturę i obyczaje, bo to, co człowiekowi mało znane, jest nieprzystępne”*. Niby to takie oczywiste, a wciąż nie do pojęcia dla większości zawodowych polityków i nie mniej zawodowych samorządowców.

Zdziwienie 2.

W tym roku Fundacja YAMATO zorganizowała już dziewiętnastą kolejną edycję Festiwalu Kultury Japońskiej, co zostało włączane w obchody stulecia nawiązania kontaktów dyplomatycznych pomiędzy Japonią a Polską. *Niektórzy myślą, że mam tajemniczych sponsorów – mówiła dla portalu „Biznes i Styl” Iga Dżochowska. – Tymczasem jestem nie tylko prezesem, ale i założycielem, i fundatorem. Prowadzenie Centrum wymaga ogromnego zaangażowania, mojego i pani Atsuko, ale cieszę się, bo chyba osiągnęłam zamierzony przed laty cel. Nie tylko sprowadziłam i pokazałam u nas japońską kulturę, ale i wypromowałam południowo-wschodnią Polskę w Japonii. Wszyscy nasi goście wyjeżdżają zachwyceni Podkarpaciem, opowiadają o nim w Japonii.*

Rozmawiałem z radnym miasta Przemyśla, człowiekiem skądinąd zaangażowanym w kulturę i promocję miasta i regionu. Coś słyszał o Fundacji, coś wie o Festiwalu, ale tylko „coś”. Na zamku w Baranowie Sandomierskim gośćmi festiwalu byli przedstawiciele Ambasady Japonii w Polsce, którzy przy tej okazji uhonorowali działalność pani Dżochowskiej Nagrodą Ministerstwa Spraw Zagranicznych za promowanie kultury Japonii na świecie. Warszawskich dyplomatów nie zauważono w okolicy. Nie pofatygował się również żaden z lokalnych samorządowców.

W stolicy z okazji tego 100-lecia odbyły się okolicznościowe spotkania, rauty, występy i wystawy, także z udziałem najwyższych władz. Poza Warszawą zorganizowano kilka zdarzeń instytucjonalnych w kilku większych miastach. W skali ogólnopolskiej informował o tym jedynie dziennik Rzeczpospolita w specjalnym dodatku, skądinąd przygotowanym przez Ambasadę Japonii w Polsce. Co ciekawe, nie znalazłem tam ani słowa o XIX Festiwalu Kultury Japońskiej organizowanym przez Przemyską Fundację Polsko-Japońską YAMATO...

Wiele lat temu poznałem panią **Magdalenę Jęczmyk**, córkę Jacka Trawińskiego, chargé d'affaires polskiego poselstwa w Japonii w latach 1934–39. Urodzona w Tokio Polka, osoba głęboko wierząca w Pana Boga i Ojczyznę, w swym życiu pięknie

łączy polskość z kulturą kraju sygnującego się konturem góry Fudzi. W jej domu specjalnymi honorami otoczony jest zbiór lalek *nihon ningyō*, które nie tyle są zabawką, ale towarzyszą Japończykom od narodzin aż do śmierci. Co roku, z początkiem marca, w czas *Hina-matsuri* (Święta Dziewczynek) lalki pani Magdy można oglądać i wysłuchać niekończących się opowieści o ich znaczeniu i symbolice. Polski dyplomata, o którym nasi politycy w czas tego 100-lecia kontaktów z Japonią jakoś nie pamiętają, fascynację krajem swej służby najwyraźniej przekazał córce. W notatkach, które udało się uratować z wojennej zawieruchy, zanotował m.in. taką „niepolityczną” refleksję:

Mówią, że polska jesień jest piękna, ja mówię, że japońska jesień jest ładniejsza. Park Poselstwa obecnie to istne cudo. Czerwień i zieleń i złoto, a wszystko to w słońcu. Natura japońska ciągnie, mówi, przemawia do duszy. Ma w sobie coś z haszyszu. Raz zakosztować, a utrwała się w pamięci i wraca. Widziane obrazy stoją przed oczyma. Trudno je zapomnieć, są za piękne. Tutaj liście też lecą z drzew, ale mniej intensywnie niż u nas. Dlatego jesień tutejsza nie jest tak smutna i melancholijna jak nasza.

Zdziwienie 3.

Wróćmy do sztuki, bo to przecież ona jest kluczem nie tylko do ludzkich serc, ale także do skutecznej polityki, co celnie zauważyła pani Iga Dżochowska. Tego roku klucz festiwalu był „taneczny” i miał adekwatną nazwę do tego, co zobaczyłem na scenie: „Japoński letni wiatr”.

Nazwiska artystów (aktorów, muzyków, tancerzy) nic nam nie mówią. I nie tylko chodzi o tzw. zwykłego widza, odbiorcę, ale także tych, którzy mogą o sobie powiedzieć, że są ludźmi z branży. Tymczasem mamy do czynienia z mistrzami uznawanymi nie tylko na Wyspach Japońskich, ale dosłownie na całym świecie. Na przykład performerka **Maki Matsunaga**, która oprócz baletu klasycznego, prezentuje taniec japoński i taniec biały. Jest również modelką; prowadzi lekcje prawidłowego chodzenia „na pięcie”, noszenia tradycyjnego kimona,

walki na miecze. Inną nauczycielką ruchu jest **Ryoko Kudo**, która uznawana jest obecnie za jedną z najlepszych na świecie instruktorek metody Pilatesa. Ryoko tańczyła w widowiskach najlepszych amerykańskich choreografów.

Zupełnie osobną kategorię działań scenicznych prezentuje **Shoko Ito**, solowa artystka łącząca teatr tańca z teatrem słowa. Jej opowieści, ilustrowane niezwykle plastycznymi, pełnymi ruchu i dowcipu etiudami, oglądała już publiczność na wszystkich kontynentach (może minus Antarktyda). Andrzej Wirth, mieszkający w Niemczech polski krytyk teatralny, porównuje jej sztukę do mistrzostwa legendarnego francuskiego mima, Marcela Marceau. Podobnie osobnym jest fenomenalny tancerz **Yoshitaka Suzuki**. Ten artysta, mieszkający obecnie w Holandii, ma za sobą studia w Japonii i USA. Występy w musicalach, wideoklipach oraz filmach muzycznych. Tańczy klasykę i jazz, improwizuje, a ponadto jest jednym z najlepszych obecnie interpretatorów tradycyjnej sztuki japońskiego. Jego taniec z kataną (mieczem samurajskim) to mistrzostwo, o którym nie decyduje tylko technika, ale autentyczne bycie w tym, co się czyni na scenie. Siłą płynącą z duchowości dorównywała mu na pewno **Kozue Kawabe**, tak piękna jak i muzyka Chopina, którą ilustrowała tańcem... A do tego jeszcze towarzysząca niektórym występom wirtuozowska gra na karylionie w wykonaniu **Yukine (Yukiko Sakurai)**...

Nie wymieniam tutaj wszystkich wykonawców, czy osób uzupełniających ofertę tej japońskiej trupy. Chodzi mi raczej o ukazanie unikalnego artystycznego spektrum, zupełnie odmiennego o tych propozycji, jakie polskiemu widzowi oferują instytucje kultury od Bielska-Białej po Słupsk i od Kostrzyna po Sejny. Odmienność ta, to nie tylko brak nachalnej postmarksistowskiej agitki, ale przede wszystkim podmiotowość własnej kultury w każdym działaniu, w każdej z inspiracji. Japończycy jak najbardziej łączą sztukę zachodu, północy i południa ze swoją. Są nowocześni, a nawet prekursorscy, ale wszystko to służy dowartościowywaniu ich kultury tradycyjnej. To Japonia jest podmiotem dla tych jak najbardziej międzynarodowych twórców. I to jest właśnie lekcja, którą powinni odrobić wszyscy ci, którzy mają kompleks tzw. zachodu i tzw. nowoczesności.

Problem polega na tym, że my nie chcemy słuchać, nawet wtedy, kiedy otrzymujemy przysłowiowego „gotowca” i to za darmo. Nadal nad Wisłą nie doceniamy pracy takich ludzi jak panie Iga Dżochowska i Atsuko Ogawa, i takich organizacji jak Fundacja YAMATO z Przemyśla. To jest właśnie ta sól ziemi, której potrzeba polskiej kulturze.

Tomasz A. Żak

Read more: <http://www.pch24.pl/japonska-lekcja,70134,i.html#ixzz5y0UjEKfr>